

Paweł Kaczorowski: Carl Schmitt – Epimeteusz XX wieku

Obecność wroga, zagrożenie z jego strony jest dla Carla Schmitta podstawowym faktem polityczności. Owszem, poczucie zagrożenia może mieć, ma swoje istotne racje, ale dlaczego jest tym, co pierwsze? Skąd ta tendencja, to nachylenie? Sama wyjściowa formuła o tym nie przesądza, nie wyróżnia wroga, nie czyni go pierwotną determinantą. Przeciwnie, jako pierwszy występuje w niej Freund. Już to więc stanowi istotny punkt, który wymaga wyjaśnienia, skłania do zadawania do pytań, może i powinno budzić wątpliwości – pisze prof. Paweł Kaczorowski.

Dzieją się dzieje. Zygmunt Kubiak, twórca inspirujący i oryginalny, a jednak nie w pełni chyba doceniony jako pełen głębokiego namysłu myśliciel, w rozmowie z Pawłem Czapczykiem o klasycznych miarach i świecie współczesnym, stwierdził – nie bez racji – że choć epoka konstantyńska miała swoje cienie, to jednak blasku nadawało jej to, że władzy politycznej stale towarzyszyła wtedy władza duchowa, że etos i kratos szły ze sobą w parze. Zanim jeszcze abdykował rozgoryczony rozpadem tego związku Karol V, ową koniunkcję w teorii zdekonstruował – aby użyć tego modnego słowa – Machiavelli, który dotychczasowe arcana imperii czyli polityczną „wiedzę tajemną”, przeznaczoną dotąd dla tych, którzy dzięki posiadanej władzy sądenia, doświadczeniu i intuicji potrafią z niej właściwie korzystać, zdemaskował i uczynił – ku zdumieniu wielu - wiedzą naukowo obowiązującą i publiczną czyli jawnie głoszoną i przeznaczoną dla

szerokiej, nawet i nie wyrobionej, publiczności. Określił on zarazem pojęcie polityki w początkach epoki sekularnej, gdy coraz bardziej już przejawem hipokryzji stawało się ukrywanie tego, że w polityce obok cnót i zasad, częściej liczą się interesy, racja stanu, siła i skuteczność, siła i skuteczność władzy, która to właśnie, po rozpadzie Chrześcijaństwa i jedności Kościoła, wyzwoliła się spod swych dotychczasowych ograniczeń i stała się potężną, samoistną, zwierzchnią, z poddanej Bogu zmieniała się we władzę, tu na ziemi, w zamierzeniu swym, prawie boskiej równą.

W 400 lat po zsekularyzowaniu polityki przez Machiavellego, w czasach kiedy prawie nikogo niestety już nie dziwi to, że stanowi ona w niemałym stopniu sferę walki o władzę, o korzyści i własne interesy, walki „usprawiedliwianej” tym, że przecież tak robią wszyscy, gdy polityka jest już od dawna autonomiczną dziedziną, w której, oprócz demonstrowania siły i imperialnych ambicji krzyżują się ze sobą „Die Wagnis der Freiheit” (Bockenforde) i „Tyrranei der Werte” (Schmitt) autor „Der Begriff des Politischen” dokonał analitycznego wglądu, teoretycznej i pojęciowej deskrypcji obejmującej swym zakresem minionie stulecia, ale zwłaszcza czasy jemu współczesne, czasy kryzysu Europy po Wojnie Światowej i obnażył przez siebie odkryte zjawisko... polityczności, ukazując w ten sposób – w jego osądzie – głębokie podłoże polityki, tej polityki którą znamy na co dzień my, obywatele – widzowie wiadomości telewizyjnych i czytelnicy gazet. Polityczność – można powiedzieć- to sfera „pierwotnej dzikości”, żywiołowych kolektywnych reakcji, zbiorowych namiętności, przejawianych zanim jeszcze nie zapanuje nad nimi (dzięki czemu? – oto podstawowe pytanie dla badaczy) częściej względnie trwała władza suwerena albo rzadziej niezmiennie chwiejna równowaga konstytucyjna, zanim jeszcze nie powstanie więc normujący ład ustrojowy. Polityczność to sfera gwałtownych, impulsywnych,

nieokreślonych interakcji przed powstaniem państwa. Ale trzeba pamiętać, że właściwie jest ona czymś stale możliwym i groźnym, ponieważ państwo nie powstaje raz na zawsze, znajduje się poniekąd nieustannie *in statu nascendi*, samo-utrwalanie należy do jego podstawowych zadań. W każdej bowiem chwili, przez nagle wyrosłe korporacje, kadry, kasty, gremia, zewnętrzne lub wewnętrzne, także te poza systemowe, może zostać ono, to oficjalnie istniejące, uznane za uzurpatorskie, bezprawne, tyrańskie, dyktatorskie... a więc potraktowane prawie tak, jakby go nie było.

Opisywaną – dziś już dość często – różnicę między polityką a politycznością można przedstawić także jako różnicę pomiędzy wszystkimi tymi działaniami i motywami, które odnoszą się do budowanego ... porządku życia zbiorowego (choć i to jest pojęcie dość zagadkowe, możliwe do objaśnienia tylko na przykładach, a nie czysto konceptualnie), a tymi, które służą stworzeniu i utrwaleniu istnienia – w obszarze historii, która nie jest już *sacra*, ale *profana* – egzystencji politycznej, dominującej podmiotowości politycznej, swoistej politycznej formy życia, a więc służą powstaniu czegoś znacznie więcej niż tylko porządku życia zbiorowego.

Nie zawsze jednak z polityczności wyłania się polityczny byt podmiotowy, nawet nie zawsze wyrasta z jej podłoża państwo. Obserwowany, analizowany i opisywany przez Schmitta jest, trwający od Reformacji, dziejowy proces, w którym dwie politycznie apolityczne instytucje, polityczność dotąd na swój sposób poskramiające – Kościół i etyczne państwo (Bockenforde/Buchheim) – instytucje restytuujące konstantyńską formułę, konstytuujące ideową realność *Alteuropa* (Otto Brunner), z czasem, w toku modernizacji zaczynają tonąć w odmętach polityczności. W procesie tym dotychczasowe *universum*

staje się pluriversum, a polityczność w bezsilnym już państwie i w obliczu otwierającego się bardzo na świat nowoczesny Kościoła rozlewa się szeroko, dominuje, określa postać społecznego świata.

*

Schmittowi jako badaczowi, analitykowi nie sposób odmówić filozoficznego zmysłu, przenikliwości, wnikliwości, zdolności konceptualizacji ciągów historycznych wydarzeń i nawarstwionych fenomenów, umiejętności definiowania problemów. Tym niewątpliwie wyróżnia się on wśród teoretyków państwa i polityki, tym przyciąga. Ale też i uwodzi. Biorąc zaś pod uwagę realne znaczenie i doniosłość spraw i kwestii, które on rozważa, tym bardziej trzeba mieć baczenie i nie dać się zwieść, nie ulec stylowi jego frapującego sposobu myślenia i formułowania poglądów, jego zdolności kreślenia wizji. Zwłaszcza że poglądy w materii w której Schmitt się porusza, poglądy samego Schmitta, mogą mieć i mają swoje daleko idące także praktyczne konsekwencje. Można zrazu uważać, że skoro przestrzega on przed zjawiskiem niebezpiecznym, istotnym zagrożeniem, to wiedza, której dostarcza jest bardzo przydatna, pomocna, potrzebna. Ale czy istotnie jest ona tylko tak na wskroś pozytywna?

I skoro jedynie prawda jest ciekawa, godna tego by ją rozważać, żywić nią umysł i brać sobie do serca, to oprócz stosowania zasady autorytetu i dobrej woli pełnego zrozumienia, trzeba być też zawsze

krytycznym, w dociekaniach nieustępliwym i zapytywać o racje, przesłanki, o podstawy. Nie stosujemy więc taryfy ulgowej. Postawmy Schmittowi kilka zasadniczych pytań.

*

Zapytajmy więc najpierw o jego wyjściową formułę. W odróżnieniu od teoretyków demokracji, a także od Hannah Arendt, Derridy, Rancierea, Carl Schmitt ukazuje polityczność radykalnie, jako zjawisko złowrogie, groźne. Wszyscy pamiętają znane kryterium Freund- Feind. Odnosi się ono do relacji pomiędzy podmiotami zbiorowymi (nie osobami!), w przestrzeni życia społecznego. Z jednymi są to relacje przyjaźni (Freund) z innymi relacje wrogości (Feind). Wydaje się, zresztą, że Schmitt przywołuje tu klasyczną sytuację wyjściową, od której zaczyna się konstruowanie struktur myślowych w wielu nowożytnych teoriach polityki, teoriach państwa. Dopuszcza ona dwie zasadniczo odmienne możliwości interakcji. Pomiedzy wielością podmiotów zbiorowych pretendujących do utworzenia porządku społecznego dochodzi albo do zgody i współpracy (pod wieloma różnymi, negocjowanymi warunkami) czyli niejako do podpisania umowy społecznej albo też dochodzi do walki, do wystąpienia ostrego sporu, konfliktu, do konfrontacji, która kończy się dyktatem zwycięzcy (jednego lub mnogiego) czyli tego, kto w toku walki zyskał pozycję suwerena . Schmitt niby o tym właśnie mówi, o takich dwóch możliwościach, jakby równoległych. A jednak to właśnie relację wrogości, skrajne przeciwieństwo, ostry antagonizm pomiędzy podmiotami czyni on tym, co podstawowe, wyjściowe, co pierwsze. O „przyjaźni” nie mówi wcale, o wrogości różnych jej odmianach, różnych stopniach – bardzo wiele i prawie stale.

Dlaczego pojawia się wrogość ? Skąd się ona bierze ? Po pierwsze, tak jak się przejawia, to jawi się ona jakby była czymś z góry danym, czymś ...apriori. Ale można też znaleźć dla jej wystąpienia racje : podmioty zbiorowe są wytworami czysto ludzkimi, sztucznie powstałymi, nie naturalnymi, każdy więc prawie jest sui generis, są więc dla siebie inne, sobie obce, sobie nieznane, każdy z nich sam sobie nie całkiem jest znany. Im bardziej są zintegrowane, skupione „do wewnątrz”, tym bardziej „na zewnątrz” są od siebie odegłe , oddzielone. A poruszają się w przestrzeni, a właściwie w otchłani, historii, która nie zawiera już żadnych, ale to żadnych gwarancji ich bytu. Są więc zdane całkiem i tylko na siebie, na własną zdolność przetrwania, moc utrwalenia swego istnienia, zabezpieczenia go . W tej sytuacji, sytuacji zasadniczej i ogólnej niepewności wszystko może jawić się jako źródło zagrożenia, które trzeba samemu rozpoznać, dokładnie i na czas. To poczucie zagrożenia jest całkowicie własne, wewnętrzne, osobne. Podmiot zbiorowy przeżywa je zupełnie sam, samotnie. Żyje zatem oddzielony od innych, w całkiem własnym świecie.

I czy można na tej podstawie przypuszczać ,że rację mieli nieliczni autorzy bellicystycznej interpretacji poglądów prawnika z Plettenbergu? Nie, jest to przecież interpretacja uproszczona. Bo czyżby Schmitt miał wskazywać na „oczyszczającą” wartość konfliktu lub aprobować, zalecać nawet dokonywanie rozstrzygnięć politycznych siłą ? Wydaje się to całkiem niemożliwe. Zasługiwałyby wtedy istotnie na miano „stręczyciela przemocy” (von Krockow) albo „staatsrechtliche Diabolus” (Sontheimer). Są to jednak oceny raczej przesadzone, niesprawiedliwe. Zwłaszcza ,że przecież - co tutaj najważniejsze - jego

teoria ma – jak się powiada - charakter opisowy, a nie postulatywny. Że więc polityczność określona jest przez wrogość? – tak, tak jest, niestety – powie Schmitt – tak się właśnie na świecie dzieje, mimo szczerych chęci wielu, aby było inaczej. Wrogość to fakt, fakt podstawowy, cóż poradzić? Tym bardziej trzeba mieć tego świadomość.

A jednak powołanie się na tę faktyczność nie tłumaczy tu wcale wszystkiego. I poniekąd zwodzi. Faktyczność ta, której zdecydowanie negatywny charakter ma być złagodzony tym, że jest to właśnie tylko faktyczność : historyczna, doraźna, akcydentalna, przypadkowa, nieugruntowana, na którą więc nie jesteśmy skazani, choć jednak ona ciągle występuje, stanowi bowiem przedmiot dogłębnej analizy, wielostronnego omówienia, objaśnienia motywów. Ukazana zostaje szczególna sytuacja jako jej podłoże, a także subiektywna perspektywa zbiorowości w jakiej podejmowane są działania wobec wroga. I problem w tym, że taka obszerna, dogłębna analiza znosi poniekąd owe łagodzące negatywność przymioty faktyczności, usuwa je. Bo uzasadnia ona polityczność, ugruntowuje ją, tłumaczy, a więc : racjonalizuje, potwierdza, jakby normalizuje. W efekcie opisu, niby tylko opisu, powstaje model działania mającego cechy racjonalnej aktywności, racjonalnej przy pewnych założonych warunkach, podejmowanej w szczególnej sytuacji, w określonej optyce widzenia jej elementów . Tak ukazana, ukazana przez sam opis, racjonalność tego zjawiska może sprawić, że „odsłonięta” polityczność nabierze, w jakiejś choćby mierze, charakteru postulatywnego, bo posiada właśnie... pewną racjonalność, która może motywować działania, reakcje . Nie jest więc to tylko neutralny opis. On normalizuje i racjonalizuje (to zło, jakim jest) polityczność.

Ponadto, czym innym jest polityczność jako ogólne zjawisko, abstrakcyjnie ujmowane i teoretycznie opisywane, rozważane w ramach uczonego dyskursu, czym innym natomiast każda konkretna jego postać pojawiająca się w historii czyli działania podejmowane przez każdy konkretny podmiot zbiorowy wobec jego wroga. Ukazana w swej ogólnej postaci stanowi ona... teoremat, koncept, pewną ratio. W konkretnym zaś przypadku jest przejawem zbiorowego elan vitale, zbiorowej woli mocy, woli przetrwania, samo-potwierdzenia, trwałego samo-ustanowienia. Polityczność jest sposobem bycia egzystencji zbiorowej, każdej egzystencji zbiorowej, jest ekspresją jej dążeń do samorealizacji, niezależnie od treści, zasad, prawd lub nie-prawd, mitów, przesądów, złudzeń, ideologii, które daną egzystencję zbiorową mogą fundować, kreować. Ogólna teoretyczna formuła - „polityczność”, może więc posłużyć jako swoiste „uprawomocnienie” także i dla faktycznej, a przecież... irracjonalności, irracjonalności przejawianej przez, niektóre przynajmniej, podmioty społeczne.

Trzeba też postawić pytanie o to, co jest polityczności przeciwstawne czyli o niezaangażowanie, neutralność? Czy jest tu na nie miejsce? Jeśli tak, to pod jakimi warunkami? Jakie jest też niezaangażowanie, neutralności znaczenie, jaki zakres? Apolityczność to wielki zagadnienie, istotna postawa, temat m.in. znanych Rozważań (człowieka apolitycznego) Tomasza Manna. O neutralności Schmitt pisze wiele, w wielu miejscach, poświęca jej całe artykuły. Stanowi więc dla niego poważny problem. Lecz jednak wszędzie istnieje ona w cieniu zjawiska polityczności, istnieje tylko o tyle, o ile tamta zasadnicza relacja ją dopuszcza, o ile pozostawia poza sobą pewne enklawy. Czy nie jest to groźne, że polityczność jest jakby nieogarniona, rozlewa się szeroko, może wszystko pochłoniąć?

Zwłaszcza ,ze neutralność, widziana w nieco innym obszarze spraw, to jest , po prostu, bezstronność, obiektywizm, to postawa niezaangażowanego obserwatora. Są to zasadnicze warunki poznania prawdy, tworzenia wiedzy, powstania rzetelnej teorii. Czy one są także wątpliwe, niepewne, zagrożone w rozdartym przez polityczność świecie?

Trzeba w tym miejscu podkreślić kwestię zupełnie podstawową. Mamy oto obraz polityczności czyli sytuację w której podmiot zbiorowy wobec zagrożenia ze strony swego wroga stoi przez alternatywą : samopotwierdzić swój byt albo ulec unicestwieniu. Znajduje się on w sytuacji egzystencjalnego zagrożenia, w stanie ontologicznego niebezpieczeństwa (Diner) płynącego ze strony innego bytu zbiorowego, którego samo istnienie jest negacją jego istnienia. Jest to więc sytuacja całkiem wyjątkowa, szczególna, nadzwyczajna. Tym bardziej zatem trzeba zadać pytanie: jakie jest kryterium prawdziwości tej deskrypcji, tego teoretycznego wglądu ? Jak sprawdzić, czy jest on adekwatny ? Najprostsza odpowiedź brzmi : trzeba wczuć się w sytuację tego, kto jest zagrożony, trzeba się postawić na jego miejscu, użyć wyobraźni. Lecz czy to jest aby dobra odpowiedź ? Raczej nie, bo zajęcie takiej postawy to wykroczenie poniekąd poza rolę niezaangażowanego obserwatora. Ale i coś więcej trzeba tu powiedzieć : można sobie taką sytuację zagrożenia wyobrazić, przedstawić, ale wyobrazić to nie znaczy odczuć, doznać, nie znaczy być faktycznie zagrożonym i faktycznie widzieć faktycznego wroga. Tej egzystencjalnej sytuacji tak na chwilę, na próbę, zakosztować, zaznać nie można, nie da się, nie da się właśnie dlatego, że ona jest wyjątkowa i egzystencjalna, bo dotyczy każdorazowo określonego, „indywidualnego” bytu, pod który – w tej jego sytuacji- żadnego innego podstawić nie można, nie można go – w danym przypadku- żadnym

innym zastąpić. Chodzi tu bowiem o jego – podmiotu własną egzystencję, o nagie bycie, w dziejach. Można się więc na jego miejscu postawić, wyobrazić sobie jego sytuację, ale to nie znaczy doznać jej, odczuć ją, znaleźć się w niej. Nie można zatem jej autentyczności, tejsze faktyczności więc, zweryfikować.

A skoro tak, to tym bardziej nie można prawdziwości tego ogólnego i teoretycznego opisu stwierdzić, potwierdzić, zasadnie uznać. Lecz, co więcej, skoro nie można uznać, to poniekąd nie można jej także, z tych samych powodów, zaprzeczyć, nie można jej zanegować. Jeśli to uczynimy, wówczas ci reprezentujący zagrożony byt odpowiedzą nam, że nie widząc tego zagrożenia, nie widząc ich wroga jesteśmy po prostu jak „ślepi”. I ta „ślepotą” nas wyklucza, pozbawia możliwości osądu. Nasza negacja jest naszą przypadłością, a nie rzeczowym stanowiskiem.

Pozostaje więc chyba tylko powiedzieć „tak” lub „nie”, można jedynie ten schmittowski „fenomenologiczny” opis w całości przyjąć lub odrzucić, pozostaje on kwestią „wiary”, indywidualnego przekonania, może być ewentualnością przyjęcia pewnej strategii.

Całą sprawę – dodajmy – gmatwa bardzo jeszcze i ten fakt, że chodzi tu zawsze – co już zostało wspomniane – o działania, reakcje, postawy, motywacje podmiotu zbiorowego – każdy z nich prawie jest inny, każdy jest w swoim rodzaju – a nie podmiotu jednostkowego, nie osoby ludzkiej. Polityczność zasadza się na istnieniu podmiotowości zbiorowej. Ta zaś jest czymś każdorazowo bardzo specyficznym. Podmiotowość zbiorowa to określenie równie paradoksalne, jak tożsamość zbiorowa, świadomość społeczna. Jej desygnat jest

subiektywnością, subiektywnością zbiorową, lecz to brzmi znów jak drewniane żelazo. A jednak nie jest ona pozorem. Tyle, że w obszarze tejże subiektywności, poniekąd właśnie „obiektywnej”, bo zbiorowej, różne rzeczy mogą się pojawić jako jej treści, różne wizje, emocje, nastroje, lęki, nadzieje, zamiary... Różne rzeczy, sprawy można w tej perspektywie „widzieć”. I tak właśnie „po swojemu”, wyłącznie „subiektywnie” jakaś jedna, konkretna zbiorowość może poczuć się wzgardzona, osaczona, dyskryminowana, inna zaś potężna, triumfująca, mająca misję, odpowiedzialna za losy świata.... W takim kontekście każda z nich może jeszcze łatwiej i pewniej zobaczyć wroga, który to, skądinąd, wcale nie będzie, nie musi być, pozorny.

Irracjonalność, swoisty subiektywizm zbiorowy, indywidualna ogólność, zbiorowa samotność – wszystko to są określenia, przynajmniej, dziwaczne, lecz realne, o ile tylko przyjąć podaną miarę, miarę swoistości tego, do czego się odnoszą – zjawiska polityczności. „Wypełzają” one stanowiąc kontekst ogólnego opisu tego, czym jest das Politische.

Obecność wroga, zagrożenie z jego strony jest dla CS podstawowym faktem polityczności. Owszem, poczucie zagrożenia może mieć, ma swoje istotne racje, ale dlaczego jest tym, co pierwsze? Skąd ta tendencja, to nachylenie? Sama wyjściowa formuła o tym nie przesądza, nie wyróżnia wroga, nie czyni go pierwotną determinantą. Przeciwnie, jako pierwszy występuje w niej Freund. Już to więc stanowi istotny punkt, który wymaga wyjaśnienia, skłania do zadawania do pytań, może i powinno budzić wątpliwości.

I to może wszystkie one właśnie tłumaczą „pierwszeństwo” wroga. Ta kategoria jest bowiem wyraźnie inna niż Freund, „przyjaciół”, jest innego rodzaju, nie ma pomiędzy tymi kategoriami symetrii, ani równorzędności, jak w przypadku członów różnych innych opozycji. To nie jest tak po prostu, że jak z jednym podmiotem X jest Freund, tak z innymi z kolei jest Feind. Nie, te kategorie są zasadniczo różne w swym charakterze i w sposobie bycia tych relacji, w ich następstwach także. Wrogość jest zupełnie szczególna, wyjątkowa, nie tylko w swym pojawieniu się, ale w tym jak sytuuje ona podmiot i jakim czyni – dla niego- świat poza nim. Głęboko przeżywana może być śmiertelnie niebezpieczna, bo – jak sekta- izoluje podmiot, izoluje od wszystkiego co neutralne, realne, prawdziwe, intersubiektywne, wspólne. Dla niej obiektywność zupełnie znika, choć ona sama uważa, że dopiero ona widzi ją w pełni.

*

Pytań można byłoby postawić jeszcze wiele, na razie jednak zakończmy ich zadawanie. Wszelako podkreślić trzeba, że odkrywana i niby tylko opisywana przez Schmitta... polityczności, to jedno, zaś jego teoria jej, to drugie. Po pierwsze bowiem, teoria ta zjawisko polityczności niejako uwalnia od... jego każdorazowej faktyczności, racjonalizuje, normalizuje, „uprawomacnia”, jej opisowi nadaje poniekąd normatywny, postulatywny charakter. Po drugie zaś, teoria ta wzmacnia taką możliwość, że podmiot zbiorowy przejawiający polityczność, znajdujący się w tej relacji, będzie mógł powoływać się na swoistą etykę, etykę działania, działania o podstawowym dlań znaczeniu: chroniącego jego własny byt, zwalczającego wroga. Wtedy zaś – po pierwsze - pojawia się druga etyka, oprócz tej zwyczajnej,

normalnej, tradycyjnej, która była wymieniona obok sfery estetycznej i ekonomicznej. Po drugie, jest to etyka... dziwna, bo etyka każdorazowo tylko jednego podmiotu, jego, w działaniach wobec świata.

Opisywanie/postulowanie istnienia „dwóch” etyk, to sprawa niebezpieczna, bo w konfliktowej sytuacji która jest ważniejsza, która kosztem której ma być spełniana...?

Zapytajmy jeszcze tylko: czy to wszystko, co – jak można uważać – czyni z Carla Schmitta Machiavellego XX wieku, a więc wydobyte na jaw polityczności i – użyjmy tego dziwnego dosyć słowa – „uobywatelnienie” jej w świecie, swoiste „uprawomocnienie” poprzez ukazanie jej jako istotnego składnika życia społecznego w dziejach epoki Nowożytnej i Nowoczesnej, czy to wszystko dokonuje się – u Schmitta w sposób wtórny, niezamierzony, dokonuje się jakby „niechcący”? Czy odsłania on zło polityczne tak, jak profesor medycyny rozpoznaje chorobę albo moralista – etyk niegodziwość ludzkich poczynań? Nie, jednak nie, wcale nie. Wtedy zbiór „Positionen und Begriffe” nie miałby podtytułu „Im Kampf mit Weimar, Genf, Versailles”, nie głosiłby autor owego zbioru, że pojęcia dotyczące polityki mają z natury polemiczny charakter, nie demaskowałyby ukrytej polityczności prawa międzynarodowego... To, co Schmitt pisze o polityczności, to pisze nie tylko dla głoszenia wszem i wobec prawdy, ale i w konkretnym, zwyczajnie politycznym, celu: dla oświecenia swoich rodaków, dla nich ku pouczeniu, im ku przestrodze. Aby byli gotowi zmierzyć się z od dawna przejawianą przez anglosaskie stateless societies ... politycznością Zachodu, politycznością przejawianą przez zwycięskich aliantów, Amerykanów, którzy mówią o sobie, że „Nie było dotąd innego społeczeństwa, które by twierdziło, że zasady zachowania etycznego dotyczą działań międzynarodowych w takiej mierze jak indywidualnych... Żaden naród nie narzucił sobie takich moralnych wymagań jak Ameryka” (Kissinger). Według

Schmitta nie są oni wcale wiarygodnymi pacyfistami, politycznymi idealistami, neutralizatorami, „krzyżowcami” demokracji i pokoju. Są dwulicowi. I dlatego Niemcy muszą porzucić swoją niewinność czyli swą apolityczność, muszą przewyciężyć własną – narosłą w czasach wilhelmińskich- niechęć do polityki, nie mogą pozostawiać jej dłużej w rękach solidnych, doświadczonych Beamte-„urzędników”, muszą i Niemcy, oni także, mieć polityków vom Beruf czyli z zawodu i z powołania. Takich, jak towarzysz Lenin. Tak będzie sprawiedliwie. Tylko tak mogą bowiem obronić się, uratować, uratować swoją wielkość, odeprzeć inwazję „amerykanizacji” i idei z 1789 roku.

Ale wszystkie te pouczenia, porady następują za cenę, w uczony sposób dokonanego, autorytetem „teorii” potwierdzonego – jak to u Niemców – swoistego „usprawiedliwienia”... polityczności, tej wstydliwie skrywanej lub nieświadomie stosowanej, stosowanej podobno powszechnie, praktyki każdej – podobno – nacji. „Usprawiedliwienie” to jest, w swych skutkach, jak otwarcie puszkii Pandory – polityczność wypełza na cały świat i w nim od teraz „obowiązuje”.

Nota bene: okazuje się, że nauka nie zawsze wcale jest tak niewinna, neutralna, stojąca z boku i niezaangażowana. Nie jest taką zwłaszcza wtedy, gdy w imię swoistego realizmu, mocą swych ogólnych tez, zmienia status zjawisk, zmienia z de facto na de iure, czego problem tzw. De facto states jest całkiem świeżym przykładem.

Paweł Kaczorowski